

*Może powinienem pójść jeszcze dalej?* – pomyślał Malakim Peliel, wspiawszy się na szczyt Kilimandżaro, górujący 5895 metrów nad suchymi równinami Tanzanii.

Anielska istota mogła policzyć na palcach jednej dłoni sytuacje, w których zadawała sobie to pytanie, podczas dwutysiącletniej obecności na zboczach tego wygasłego wulkanu. Ale zawsze coś odciągało ją od tych rozmyślań. W pewnym momencie na Ziemi pojawiła się tak zwana cywilizacja, a w miejsce prymitywnych wiosek rozsianych po dżungli wyrosły miasta. Towarzyszyły im wielkie migracje różnych gatunków zwierząt: antylop gnu, zebra, gazeli i lwów, które wędrowały przez południowe równiny Serengeti, obierając sobie za cel zielone pastwiska sąsiedniej Kenii. *Jest tutaj co oglądać* – skonstatował Peliel. – *Tyle bodźców, dźwięków i zapachów*. Czy nie to właśnie było jego celem – kwintesencją bycia Malakimem?

On i jego bracia zamieszkujący tę ziemię pełnili rolę zmysłów Boga, pozwalając Wszchemogącemu doświadczyć w pełni owoców swojego stworzenia. Ale dzisiaj było inaczej. W rzadkim powietrzu wokół Kilimandżaro wisiało coś, co podpowiadało Malakimowi – a właściwie ostrzegało go – że być może powinien poszukać sobie innej grzędy.

Powoli rozpostarł zdrętwiałe od tysiącleci skrzydła. Pokrywająca je gruba warstwa brudu i lodu odpadła, ukazując w całej okazałości anielską postać, która jeszcze przed chwilą wydawała się elementem zamrożonego krajobrazu.

– Tutaj jesteś – rozległ się głos bardziej lodowaty niż wiejące na szczycie wichry.

Malakim odwrócił się z gracją, stając twarzą w twarz z jeszcze jednym z dzieci Boga. Istota owa była ubrana w ludzki strój. Towarzyszyło jej około dwudziestu podobnych osobników i właśnie to zaniepokoiło Peliela.

– Do którego chóru należysz? – spytał, jakby od niechcienia strzepując pył ze swojej bogato zdobionej zbroi.

– Jestem Werchiel – odparł nieznajomy, pochylając nieco głowę. – Z chóru Potęg.

Peliel przyjrzał się stojącym przed nim wojownikom i zauważył, że ich ciała noszą okropne blizny, świadczące o stoczonych niedawno krwawych bitwach. Ci, z którymi walczyli, musieli również należeć do istot niebiańskich. Trudno bowiem było inaczej wyjaśnić tak dotkliwe obrażenia. *Co takiego musiało się stać, kiedy moje myśli błędziły gdzie indziej?* – zastanowił się Peliel.

– Ach tak, tropiciele upadłych – Peliel rzucił od niechcienia, przekrzykując wiatr, który dał teraz ze zdwojoną siłą, jakby też chciał go ostrzec. – Szukałeś mnie, Werchielu z chóru Potęg? – Jego własny, nieużywany od tysięcy lat głos, wydawał mu się szorstki i obcy. Przypominał przesuwanie płyt tektonicznych pod powierzchnią Ziemi. – A jeśli tak, to czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

To, że przemówił po tak długiej przerwie, sprawiało mu radość. W myślach powrócił do czasu, kiedy po raz ostatni posługiwał się mową. Wiele wieków temu dziki kot – lampart – w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób wspiał się aż w pobliże zachodniego wierzchołka tej wielkiej góry. Ciekaw pobudek, jakie kierowały zwierzęciem, Peliel objawił się przed nim. Lampart umierał. Polarny klimat Kilimandżaro zimową porą wyssał całe ciepło z gibkiego, cętkowanego ciała zwierzęcia. Malakim zwrócił się do niego w języku zwierząt i spytał, co przywiodło go w tak niegościnne rejony. Zdychający na śniegu lampart odparł, że przyciągnęła go tu na szczyt perspektywa ujrzenia czegoś wspanialszego niż samo Kilimandżaro. Dał się skusić aurze emanującej z Malakima. Peliel uśmiechnął się, zastanawiając się, czy ta sama aura jego wszechwładzy sprowadziła tutaj także Werchiela i Potęgę.

– Szukam czegoś, co znajduje się w twoim posiadaniu – wyrwał go z zamyślenia głos Werchiela.

Peliel zachichotał, rozbawiony beczelnością anioła.

– A cóż ja mógłbym takiego posiadać, co mogłoby cię zainteresować, mały postańcze?

– Ty i tobie podobni jesteście bezpośrednimi łącznikami z Panem – wyjaśnił Werchiel.

– Przedłużeniem Jego boskiej mocy. Nosicielami Jego wiedzy i mądrości.

Peliel skrzyżował ramiona na szerokiej piersi, skinieniem głowy dając Werchielowi znak, by mówił dalej.

– Żądam, abys udzielił mi informacji, jak złamać pieczęcie nałożone przez Boga... i nie zawaham się użyć wszelkich środków, by osiąść tę wiedzę – obwieścił Werchiel.

Tupet i arogancja Werchiela rozżłościły Peliela. *Za kogo ten anioł się uważa i jak śmie stawiać żądania Malakimowi?*

– Radziłbym ostrożniej dobierać słowa, Werchielu – warknął Peliel – zanim ukarzę cię za twoją zarozumiałość. – To mówiąc, rozwinął potężne, stalowoszare skrzydła.

Powietrze za jego plecami zaczęło skwierczeć i strzelać od nagromadzonej, tłumionej dotąd energii.

– Z przykrością muszę ci oznajmić, święty Malakimie, że nie ma takiej rzeczy, której bym dotąd nie doznał, dlatego groźba kary nie robi na mnie wrażenia – odparł Werchiel z jadowitym uśmiechem na bladej, przeoranej bliznami i poparzeniach twarzy. – Daj mi to, czego chcę, a odejdę i pozwolę ci dalej kontemplować ten... f a s c y n u j ą c y krajobraz. – W głosie Werchiela, pozbawionym szacunku, zabrzmiało i lekceważenie. Dowódca Potęg rozejrzał się wokół, sięgając wzrokiem poza afrykański horyzont.

*Jest w nim potężna nienawiść* – pomyślał Malakim i zastanowił się po raz kolejny, jakie wydarzenia uszły jego uwagi. Nie miał innego wyboru, jak tylko wskazać Werchielowi i jego sługom należne im miejsce. Taka bezgraniczna arogancja nie mogła ujść mu płazem.

– Bezczelny młokosie! – ryknął Peliel, a jego donośny głos odbił się echem wśród szczytów, niczym huk schodzącej lawiny. Sięgnął ręką w kierunku lodowato niebieskiego nieba i dobył z powietrza potężną broń, emanującą niebiańską energią – budzący grozę miecz. Po czym, nie namyślając się długo, uderzył nim w szczyt góry. W tym miejscu ziemia rozstała się, a głęboka szczelina sięgnęła w dół, przez całe zbocze Kilimandżaro, aż do stóp aniołów Potęg.

– Możesz sobie pomstować, ile zechcesz, strażniku Jego Słowa – powiedział Werchiel, wzbijając się w powietrze na równie potężnych skrzydłach, z dala od trzęsącej się ziemi. – To niczego nie zmieni. – Po tych słowach, podniósł rękę i opuścił ją, dając swoim gwardzistom sygnał do ataku.

Aniołowie Potęg rzucili się na Malakima z wściekłym wrzaskiem i obnażoną ognistą bronią. Peliel zareagował błyskawicznie, krzyżując z nimi swój miecz wykuty z burzy i paląc na popiół pierwszego z niebiańskich wojowników. Nie stanowili oni dla niego najmniejszego zagrożenia, a mimo to atakowali go, ginąc jeden po drugim.

Kiedy ostatni z aniołów Potęg spłonął u jego stóp, a ich popiół rozwiął mroźny wiatr, Malakim odwrócił się do ich dowódcy.

Werchiel stał niewzruszony, z dłońmi splecionymi za plecami. Na jego twarzy nie było widać choćby cienia współczucia dla tych, którzy polegli na jego rozkaz.

– Wiedziałeś, że nie mają ze mną żadnych szans – wycedził przez zęby Peliel, nie opuszczając miecza, gotów uderzyć w każdej chwili.

Przywódca Potęg, który posłał swoich żołnierzy na pewną śmierć, przytaknął ochoczo.

– A mimo to kazałeś im mnie zaatakować. Dlaczego? Czy i ty chcesz podzielić ich los, Werchielu z chóru Potęg? Próbujesz w ten sposób zachować twarz, ginąc z ręki silniejszego od siebie?

Anioł uśmiechnął się i Malakim Peliel przez moment był pewien, że ta anielska istota rzeczywiście postradała zmysły. Uśmiech na twarzy Werchiela świadczył o tym, że nie zdaje sobie zupełnie sprawy z powagi sytuacji albo kpi sobie z niej. I przez ułamek sekundy boski emisariusz poczuł strach przed tą niższą od siebie rangą istotą.

– Co się właściwie stało, że podjąłeś taką decyzję? – spytał Peliel.

Werchiel wyprostował się i zeszywniał.

– Jestem tym, kim stworzył mnie Pan – warknął. – Śmierć moich żołnierzy nie poszła na marne. – Bezdenne, czarne oczy przywódcy Potęg załśniły złowrogo, zdradzając po raz kolejny objawy szaleństwa, podczas gdy on sam rozwinął skrzydła, jakby chciał podkreślić w ten sposób swoje słowa. – Posłużyłem się nimi, żeby odwrócić twoją uwagę.

Peliel wyczuł obecność Archontów, jeszcze zanim go zaatakowali. Był wyczulony na zapach anielskiej magii – magii, której sam ich uczył. Odwrócił się w samą porę, by stawić im czoła, gdy wychodzili z tchnącego śmiercią i zepsuciem portalu między wymiarami. Było ich tylko pięciu, zamiast siedmiu, co stanowiło kolejny dowód na to, że Werchielowi sytuacja wymknęła się nieco spod kontroli. Malakim chciał spytać swoich uczniów, co właściwie stało się ze światem ludzi, kiedy on zajmował się innymi sprawami. Ale nie zdążył już wypowiedzieć ani słowa.

Peliel znał doskonale czary, którymi posłużyli się Archonci. Była to potężna magia, używana w celu unieruchomienia ofiary o wielkiej sile. Szykował się właśnie do riposty, kiedy został podstępnie zaatakowany z tyłu. Gorejące ostrze miecza Werchiela przebiło płytową zbroję i ugrzęzło się w anielskim ciele. Malakim odwrócił się gwałtownie, gotów stawić czoła nowemu zagrożeniu. Wtedy dotarło do niego znaczenie słów przywódcy Potęg.

*Posłużyłem się nimi, żeby odwrócić twoją uwagę.*

Werchiel zdążył ujść na bezpieczną odległość. Peliel poczuł, jak czary Archontów zaczynają nabierać mocy. Było już za późno. Malakim stracił ostatnią szansę obrony. Magia wtargnęła do jego ciała, moszcząc sobie gniazdo pod jego skórą, mięśniami i kośćmi. Peliel poczuł, jak zamarza – tak jak otaczający go niegościnnie krajobraz, który był jego domem przez ostatnie dwa tysiące lat. Jego uczniowie odebrali solidną lekcję magii i teraz okrzyki swoją unieruchomioną ofiarę, opuszczając ją powoli na zamarzniętą ziemię. Wokół przeraźliwie huczał wiatr.

Peliel stracił czucie w całym ciele, ale zachował pełną świadomość tego, co się wokół niego dzieje. Czterech z pięciu Archontów lewitowało w powietrzu, mamrocząc zaklęcia, które go obezwładniały. Piąty z magów – jak zauważył Peliel – niewidomy, dobył z fałd płaszcza zakrzywiony sztylet z ząbkowanym ostrzem o złowrogim blasku. Malakim wiedział, że sprawi mu ono ból.

Ślepy Archont zatopił ostrze sztyletu w czole Malakima z taką siłą, że czaszka pękła na pół. Mgła nieświadomości przesłoniła jego oczy, a świat zaczął w nich gasnąć. Malakim zdążył jeszcze zobaczyć, że Werchiel zajmuje z powrotem miejsce obok swoich czarowników.

– Widzisz to? – zapytał przywódca Potęg, przy wtórze anielskich zaklęć. W jego głosie pobrzmiwała niecierpliwość.

– Tak, jest tu – odpowiedział niewidomy Archont, kiwając skrytą pod kapturem głową. Puste oczodoły w jego czaszce przypominały bezdenne, czarne sadzawki.

– Więc daj mi go – rozkazał płomiennym szeptem Werchiel.

Ślepy mag sięgnął drżącymi palcami do wnętrza czaszki Malakima i wyjął stamtąd trofeum, na którym tak bardzo zależało jego panu.

Aaron Corbet nie mógł oderwać oczu od wejścia do taniej przydrożnej restauracji po drugiej stronie parkingu. Staruszkowie, całe rodziny i kierowcy tirów – ludzie

różnej tuszy i wzrostu – wchodzili na śniadanie i wychodzili ze środka po jego skonsumowaniu. Było to śmiertelnie nudne – zwyczajne do obrzydliwości.

Ileż on sam oddałby za takie nudne i zwyczajne życie!

– *Jak myślisz, co zjadł ten wielki, łysy grubas?* – spytał siedzący obok labrador Gabriel, najlepszy przyjaciel Aarona. – *Wydaje mi się, że właśnie sobie beknął. Czuję kielbasę. Lubię kielbasę. A ty, Aaronie?*

Młody mężczyzna nie odpowiedział, wciąż zahipnotyzowany rytmem normalności. Na krótką chwilę chciał sobie przypomnieć, jak to było – być takim zwyczajnym facetem, nieprzejmującym się zupełnie istotami niebieskimi – aniołami, którzy krążyli wokół nich.

– *Czy myślisz może o kielbasie?* – spytał nagle Gabriel, wyrwując go z zamyślenia. – *A może o naleśnikach? Co ja bym dał, żeby zjeść teraz kielbasę albo naleśniki! Na pewno nie możemy tam wejść i czegoś przekąsić? Jestem strasznie głodny.*

– Nie, nie możemy – odpowiedział Aaron, czując znowu ciężar odpowiedzialności na swoich barkach. Zdążył już ją zaakceptować, co nie znaczyło jednak, że było mu dzięki temu lżej.

Upadłe anioły, które schroniły się na Ziemi po wojnie w Niebie, wierzyły w pewną starożytną przepowiednię. Mówiła ona o przyjściu na świat Nefilima, potomka śmiertelnej kobiety oraz anioła, ale Nefilima wyjątkowego, różniącego się od swych braci i sióstr. Za jego sprawą i wstawiennictwem bowiem wszyscy upadli aniołowie mieli uzyskać przebaczenie w oczach Boga i połączyć się z Nim z powrotem w niebie. Tym Nefilimem – odkupicielem – był Aaron Corbet. Czy mu się to podobało, czy nie.

Z baru wyszła rodzina: matka, ojciec i mały chłopiec, na oko siedmioletni. Chłopczyk ścisnął kurczowo balon z podobizną SpongeBoba i sprawiał wrażenie najszczęśliwszego dziecka pod słońcem. Aaron obserwował, jak idą przez parking do swojego samochodu, i nie mógł powstrzymać się od myśli o własnej rodzinie, którą stracił w wyniku splotu tragicznych wydarzeń, mających związek z jego anielskim przeznaczeniem. Po wielu latach spędzonych na tułaczce od jednej rodziny zastępczej do drugiej w końcu został umieszczony w domu Stanleyów. Traktowali go jak własne dziecko i stali się dla niego jedyną prawdziwą rodziną, jaką znał.

Ale oni już nie żyli – zostali zabici przez chór aniołów noszących miano Potęgi, których najważniejszym celem było niedopuszczenie do spełnienia się przepowiedni. Ich przywódca, drań o imieniu Werchiel, chciał za wszelką cenę ujrzeć Aarona martwym. Ale Nefilim nie miał zamiaru dać mu tej satysfakcji.

– *Czy to dlatego, że psom nie wolno wchodzić do restauracji?* – sfrustrowany i głodny Gabriel nie dawał za wygraną. Labrador uwielbiał jeść i gadać... gadać bez końca. – *Czy oni nadal uważają, że brzydko pachniemy, Aaronie?* – dopytywał się pies. – *Nie wydaje mi się, żebym pachniał gorzej niż większość dzieci.*

Umiejętność rozumienia psa i języków wszystkich istot żyjących była tylko jedną z nowych cech, które Aaron w sobie odkrył. Przy udziale swojego anielskiego przewodnika Kamaela i starego upadłego anioła imieniem Belfegor udało mu się okiełznać anielską moc Nefilima, która w nim zamieszkała i połączyć się z nią. Moc ta dawała mu siłę i zdolności, bez których nie byłby w stanie wypełnić misji ani poradzić sobie z zagrożeniem ze strony Werchiela i Potęg.

– Myślę, że pachniesz lepiej niż większość dzieci – skomplementował psa Aaron – ale tak nie pozwolą ci jeść w środku. Przekąsimy coś, kiedy wrócimy do Aerie. Nie martw się, nie pozwolę ci umrzeć z głodu.

Aerie, osiedle zamieszkałe przez upadłe anioły i Nefilimów stało się teraz ich domem. Wszyscy jego obywatele wierzyli w starożytną przepowiednię i w to, że właśnie Aaron ma być ich wybawcą. Aerie stało się więc nie tylko jego domem, ale i przedmiotem jego troski.

Pies pomruczał coś pod nosem, nie do końca usatysfakcjonowany tym kompromisem. Wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia. Aaron świetnie znał to uczucie i mógł sobie narzekać do woli, ale nie zmieniało to faktu, że miał przed sobą ważne zadanie do wykonania. Starał się nie dać przytłoczyć nowym obowiązkom; i tak stanowiły one dlań nie lada wyzwanie. Nie tylko musiał chronić mieszkańców Aerie, wiedząc, że Werchiel uszedł z życiem i dyszy na pewno żądzą zemsty, ale także opiekował się Vilmą. A na domiar wszystkiego okazało się, że jego ojcem jest nie kto inny, lecz sam Lucyfer. *Ale kto powiedział, że bycie zbawicielem to sam miód i orzeszki?*

Aaron odwrócił się tyłem do baru i zerknął w stronę budki telefonicznej, gdzie Vilma właśnie kończyła rozmowę.

– *Martwię się o nią* – powiedział Gabriel, wypowiadając głośno te same obawy, które targały Aaronem. Obaj obserwowali, jak dziewczyna odkłada słuchawkę i wychodzi z budki.

Vilma należała do dawnego życia Aarona, zanim jeszcze obudziła się w nim anielska moc i wyrzuciła jego świat do góry nogami. Mimo iż utrzymywali kontakt mailowy, nie sądził, że kiedykolwiek jeszcze ją spotka. Pogodził się już z faktem, że musi utracić Vilnę Santiago, tak jak wszystko inne. Tymczasem ona zjawiała się niespodziewanie, co więcej – okazało się, że są sobie teraz bliżsi niż kiedykolwiek. Obydwoje byli bowiem Nefilimami. Aaron zawsze kochał Vilnę i czuł, że łączy ich jakaś potężna więź. Ale teraz, kiedy okazało się, że Vilna jest także częścią szaleństwa, jakim stało się życie Aarona, zaczęło go to napawać przerażeniem.

– W domu wszystko w porządku? – Aaron spytał, kiedy Vilna podeszła do nich.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, przeczesując nerwowo błyszczące, czarne włosy, sięgające jej do ramion.

– Tak jak się można było spodziewać – powiedziała, unikając jego wzroku.

Vilna spociała się, mimo że temperatura na dworze nie przekraczała piętnastu stopni. Aaron zauważył też pod jej pięknymi, brązowymi oczami ciemne obwódki.

Wyciągnął rękę i dotknął ostrożnie ramienia Vilny.

– Wszystko w porządku? – spytał najdelikatniej, jak potrafił.

Vilna podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy. Jej spojrzenie pełne było gwałtownych emocji.

– Nie – pokręciła głową, a po śniadych policzkach popłynęły łzy. – Zabrano mnie z domu, z dała od rodziny, szkoły i przyjaciół. Torturowali mnie jacyś okrutni aniołowie. Mam koszmary, które sprawiają, że boję się zasnąć... A w środku żyje we mnie jakaś istota, której nie próbuję nawet zrozumieć. Nie, Aaronie, n i c nie jest w porządku.

Vilna była przerażona i wściekła. Aaron wiedział doskonale, jak się czuje, bo jeszcze niedawno przeżywał dokładnie to samo, kiedy i w nim obudziła się anielska natura. Starał się znaleźć dobre strony tej sytuacji, ale nie potrafił. Nie chciał okłamywać Vilny. Nie miał pojęcia, jak to wszystko potoczy się dalej – dla niej, dla niego i dla pozostałych upadłych aniołów. Życie ich wszystkich było jedną wielką niewiadomą – i Aaron nauczył się jakoś z tym żyć. Dziewczyna też musiała się do tego przyzwyczaić.

Jakby czytając w myślach Aarona, Gabriel oparł się swoim potężnym, biskoptowym cielskiem o nogę dziewczyny i zaczął trącać jej dłoń zimnym, wilgotnym nosem.

– *Nie płacz, Vilmo* – powiedział pocieszająco, spoglądając czekoladowymi ślepiami w jej oczy. – *Wszystko będzie dobrze. Poczekaj trochę, a sama zobaczysz.*

Vilna łagodnie poklepała labradora po masywnym łbie. Aaron zauważył, że pies działał na nią kojąco. W ciągu tygodnia, jaki upłynął od czasu, kiedy Aaron ocalił ją z rąk okrutnego Werchiela, Gabriel okazał się dla Vilny oparciem, dzięki któremu nie poddała się do reszty szaleństwu.

– Jestem bardzo zmęczona – odparła Vilna, głosem tylko trochę głośniejszym od szeptu. – Chyba pójdę do do... – Zamilkła na chwilę, gdy to słowo uwięzło jej w gardle. Chciała

powiedzieć „do domu”, ale Aerie nie było jej domem. Stanowiło jedynie schronienie przed Werchielem i jego Potęgami – a przynajmniej musiało wystarczyć, zanim cała ta historia ostatecznie się nie zakończy.

– Zabiorę cię z powrotem do Aerie – zaproponował Aaron, obejmując dziewczynę ramieniem i przyciągając delikatnie do siebie.

Vilma skinęła głową, nie mówiąc nic. Po chwili dołączył do nich także Gabriel.

Wykorzystując jedną ze swoich nadnaturalnych zdolności, Aaron otulił siebie, dziewczynę i psa płaszczem niewidzialności, po czym rozwinął potężne, czarne skrzydła. Wyobraził sobie opuszczone osiedle, zbudowane na cmentarzysku toksycznych odpadów, okrył Vilmę i Gabriela skrzydłami i zabrał ich do Aerie.

Spętany niewidzialnymi łańcuchami, Lucyfer szukał drogi ucieczki przed męką, której doznał, ale zamiast tego przypomniał sobie czasy dawno już zapomniane.

Za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział to samo: występki popełnione przeciw Bogu oraz wojnę, którą rozpętał w Niebie w imię małostkowej zawiści. Na wspomnienie tych grzechów otworzyły się wszystkie jego rany i pierwszy wśród upadłych zdał sobie sprawę, że to nie koniec jego udreki.

Minęło wiele lat, odkąd myślał i śnił o niej po raz ostatni. Kiedy długo tłumione wspomnienia wdarły się z powrotem do jego podświadomości, wydał z siebie jęk protestu. Na imię miała Taylor i pamięć o niej była równie bolesna, jak wszystko, czego musiał doświadczyć od czasu schwytania przez Werchiela i jego świtę.

Zobaczył ją taką samą jak za pierwszym razem – piękną kobietę, tryskającą życiem i energią. Miała duże, ciemne oczy w kolorze polerowanego mahoni i kruczoczarne włosy, które spadały jej na ramiona kuszącymi lokami. Ubrana była w zwiewną sukienkę w kolorze słonecznika, na delikatne stopy włożyła skórzane sandały. Bawiła się z psem – biszkoptowym labradorem o imieniu Brandy. Było w niej coś niezwykłego, co przyciągało go i co dawało mu nadzieję, że nie jest takim potworem, za jakiego uważali go jego dawni bracia w Niebie.

Przez ten krótki czas, kiedy byli razem, Lucyfer był niemal skłonny uwierzyć, że jest zwykłym człowiekiem, a nie przywódcą rewolty przeciwko Bogu. Jego życie stało się tak cudownie zwyczajne. Zamiast tułać się po tej planecie przez tysiące lat, pragnął tylko kochać tę ziemską istotę. Sprawiała ona wrażenie, jakby została dotknięta przez Archontów – była w niej prawdziwa magia, która zdawała się tonować jego niespokojnego ducha i koić ból przekleństwa, które miał nosić zawsze, jako prowodyr Wielkiej Wojny w Niebie.

